

**Maria ZDUNEK-PĘDICHOWA**

## **WSPOMNIENIA Z OKRESU PRACY W AK**

Nasza praca w AK to była konieczność wynikająca z miłości do Ojczyzny, patriotycznego wychowania i wiary w zwycięstwo. Wkładałyśmy cały entuzjazm młodości, nie bacząc na niebezpieczeństwo czyhające na każdym kroku konspiracyjnego działania. Jako młode dziewczęta należałyśmy do Sodalicji Mariańskiej, także oczywiście w ścisłej konspiracji. Wszelkie zgromadzenia młodych były uważane za nielegalne i po każdej wpadce groziły więzienia, obozy koncentracyjne lub bezpośrednio śmierć. W ramach Sodalicji kształciłyśmy nasze charaktery, ideałami były miłość do Boga, bliźnich i Ojczyzny.

W lutym 1942 roku prezeska Sodalicji Mariańskiej umożliwiła nam wstąpienie w szeregi Armii Krajowej. Cóż to za radość, wszak zostałyśmy żołnierzami po złożeniu uroczystej przysięgi. Spotkania zazwyczaj odbywały się w naszym domu, który znajdował się na Grochowie, a właściwie na jego peryferiach przy ulicy Wiarusów 32. Mamusia wyraziła zgodę. Ojciec był także członkiem AK. Mamusia czuwała nad naszym bezpieczeństwem. Spotkania odbywały się w małych grupach. Uczyłyśmy się konspiracji, przede wszystkim jednak szkolenia dotyczyły udzielania pomocy rannym, postępowania sanitarnego w terenie, najróżniejszych sposobów transportu rannych w różnych sytuacjach. Byłyśmy dumne jako przyszłe sanitariuszki. Bardzo pilnie uczyłyśmy się teorii i postępowania praktycznego – zakładania opatrunków, bandażowania (desmurgia), unieruchomiania złamanych kończyn, robienia iniekcji (zastrzyków). Po dwie odbywałyśmy praktykę w szpitalu Przemienienia Pańskiego na Pradze. Ja z moją nieodłączną koleżanką szkolną (z jednego kompletu) – Hanią Rozumek-Wałachowską przeżywałyśmy pierwsze kontakty z rannymi. Brałyśmy udział w operacjach. Nigdy nie zapomnę okropnego wstrząsu, gdy trzymałam czyjaś amputowaną nogę. Opatrunki, zapach cuchnącej ropy to było „preludium” do późniejszych studiów medycznych. Obydwie z Hanią Wałachowską ukończyłyśmy medycynę.

Naszą komendantką obwodu sanitarnego była dyplomowana pielęgniarka Daria Izabella Kwiatkowska, pseudonim Aida-Iza. Zajęcia teoretyczne i praktyczne odbywałyśmy pod kierunkiem studenta medycyny Włodzimierza Okońskiego, a wyłącznie praktyczne z przemiłą

dypłomowaną pielęgniarką p. Teresą Kamińską. Naszym naczelnym lekarzem obwodu był dr med. Jerzy Wilczyński, pseudonim Poraj. Sprawami wojskowymi zajmowała się pani Jadwiga Szopińska. Razem ze mną w szeregach AK była moja siostra Celina Zdunek-Szczegłów. W najbliższej grupie osób, z którymi kontaktowałam się, były Hania Rozumkówna-Wałachowska, Ala Śliwińska-Stachecka, Dziunia Morawska-Nitka, Bronia Hoffman, Zosia Trzcńska, Ania Gulanka i jeszcze parę dziewcząt, których nazwisk nie pamiętam. Była także Ida Myślińska, która zginęła zastrzelona przez żołnierza niemieckiego na ul. Grochowskiej. Z innych grup pamiętam Krystynę Szlendak-Michalewską, Dankę Janikowską, Zosię Wesołowską, Telę Pietraszun-Mieszczanek, siostry Bartoszewskie, Jadziulę Pękalską i cały szereg innych, z którymi po szybko zlikwidowanym powstaniu na Pradze zaczęłam pracować w szpitalu zakaźnym utworzonym w szkole przy ul. Siennickiej, zorganizowanym przez dr. Wilczyńskiego. Istotnie szerzyły się wtedy choroby zakaźne, ale przede wszystkim chodziło o ochronę akowców przed wywiezieniem do obozów koncentracyjnych.

Każda z nas żyjących ma nieco inne wspomnienia. Inne zajęcia w innych grupach, ścisła konspiracja nie pozwalała na dzielenie się wrażeniami. Dziś po wielu latach pewne sprawy zatarły się. Najbardziej utkwiły te, z którymi łączą się przeżycia bardzo emocjonalne.

1 sierpnia 1944 r. o godz. 16<sup>30</sup> udałyśmy się z moją siostrą Celiną i Zosią Wesołowską, po pożegnaniu i pobłogosławieniu przez Mamusię, na punkt sanitarny przy ul. Zamienieckiej. Powstanie zaczęło się o godz. 17. Na ramieniu opaska czerwonego krzyża oraz przewieszona torba sanitarna. Na ulicach cisza. Przemykają jedynie znajomi chłopcy. Na wszystkich twarzach radosne podniecenie, wiara w nasze zwycięstwo i koniec strasznej okupacji. Na miejscu są już wszystkie dziewczęta. Okazuje się, że nie ma narzędzi chirurgicznych. Trzeba po nie iść pieszo około pół godziny drogi. Zgłaszam się natychmiast na ochotnika. Ale moja ukochana siostra odsuwa mnie i mówi, że jest starsza i ona pójdzie. Z jej strony to ogromne bohaterstwo. Nigdy nie należała do odważnych. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo mnie kocha. Poszły we trzy razem z Krysią Szlendak-Michalewską i Danusią Janikowską. Zanim szczęśliwie wróciły, bardzo się nadenerwowałam.

Tymczasem zaczęła się praca. Jakieś pojedyncze zranienia. Strzelanina na ulicach coraz bardziej intensywna. W nocy zatrzymują się wrogie samochody koło naszego punktu. Wielkie napięcie, czy to już po nas?

Na prawobrzeżnej Warszawie powstanie zostaje stłumione po kilku dniach. Naszemu lekarzowi naczelnemu dr. Jerzemu Wilczyńskiemu udaje się załatwić otwarcie szpitala zakaźnego w szkole przy ul. Siennickiej. Choroby zakaźne, dury, czerwonki zaczęły się błyskawicznie rozszerzać.

Ale szpital ten miał dodatkowe bardzo ważne zadanie ochrony członków organizacji podziemnej przed okupantem. Znaczna część naszych sanitariuszek zgłosiła się tam do pracy. My z siostrą oczywiście także wzięłyśmy udział w organizowaniu tej placówki i zaczęłyśmy pełnić dyżury. To była naprawdę bardzo ciężka praca. Wymagała ogromnego oddania. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Okupant odciął wodę i światło. Z żywnością było bardzo krucho. Wodę wiadrami nosiłyśmy ze studni na podwórku. Proszę sobie wyobrazić pracę w szpitalu zakaźnym bez stałej bieżącej wody.

Lekarzy na początku było tylko trzech. Dyrektor dr Wileczyński, dr Jakubowski i dr Żelazko. Ponadto dwóch studentów medycyny, którzy pełnili funkcję lekarzy – „przystojniaczek” Brzdękiewicz i Edek Nerwiński, który notabene nigdy nie ukończył medycyny. Dyplomowanych pielęgniarek było cztery. Reszta to sanitariuszki, które pracowały jako pielęgniarki i równocześnie salowe.

Chorych ciągle przybywało. Oczywiście także rannych, którzy byli zakwalifikowani jako chorzy zakaźnie. Niemcy w obawie o własne zdrowie bardzo rzadko pojawiali się w naszym szpitalu.

Od razu pierwszego dnia wypadł mi dyżur z przemiłą dziewczynką, śliczną blondyneczką Basią Charemzą – „Bajbuskiem”. Przeważnie z nią miewałam dyżury. Zaprzyjaźniłyśmy się ogromnie. Kiedy nie miałyśmy dyżuru, spałyśmy w magazynie na wspólnej półce. Takie przyjaciółki z jednej półki.

Pierwszy dzień dyżuru dał przedsmak dalszej, wcale niełatwej pracy. Od początku otwarcia szpitala bardzo dużo ciężkich przypadków. Ludzie wygłodzeni przez okres okupacji, pozbawieni odporności kładą się jak podcięte drzewa. Biegamy pełne przejęcia, żeby zdążyć wypełnić wszystkie obowiązki. Te pielęgniarskie i kontakty z ludźmi dają satysfakcję, ale ciężkie sprzątanie, wynoszenie basenów pełnych krwawych wypróżnień, zalewanie ubikacji, podmywanie w bardzo małej ilości wody to prawdziwa gehenna. Pacjenci pełni wdzięczności, że ktoś idzie im z pomocą. W izolatce leży pewien magister farmacji, starszy, bardzo miły pan. Nie chcąc nam sprawiać kłopotu, sam usiłuje zestawić z łóżka pełny basen. Oczywiście efekt jest opłakany. Cała zawartość wylewa się na łóżko. Pan magister jest przerażony. Poczynamy go i uspokajamy zmieniając bieliznę pościelową i osobistą. Myjemy dokładnie, starając się okazać jak najwięcej taktu, a równocześnie życzliwości. Czujemy, jak nawiązuje się między nami nić sympatii i zaufania ze strony pacjenta do „smarkatych sanitariuszek”.

Na następnym dyżurze oddziałowa wyznacza nam dodatkowe zajęcie: „Umyjcie i ubierzcie zwłoki zmarłego w nocy pacjenta”. Prosimy, żeby z nami poszła i towarzyszyła w tej czynności. Jeszcze nie miałyśmy do czynienia ze zmarłymi i nie umiemy wykonać polecenia. Oddziałowa odmawia w sposób kategoryczny naszym prośbom. Ja, jako młoda dziewczyna byłam energiczna i „pyskata”, argumentuję z zapalem, ale nie

uzyskuję żadnych efektów. Mój słodki, dobry Bajbusek przekonuje mnie. Zrobimy to dla Pana Jezusa. Idziemy do zmarłego. Okazuje się, że jest nim miły pan magister. Obydwie z przejęciem oddaliśmy ostatnią posługę jak można najlepiej. To był nasz chrzest bojowy.

Basia była bardzo lubiana przez wszystkich pacjentów. Ja mniej przez zdrowych, udających chorobę. Uważałam, że powinni pomagać i być dla nas, ciężko pracujących ulgą. Chłopcy nudzili się i chcieli kontaktów towarzyskich. Byłam surowa i wymagająca. Prosiłam o współpracę. Gdy wchodziłam na salę mówili – „o, już przyszedł dragon, będzie nas dręczył”. Ale z czasem, widząc nasze krańcowe zmęczenie, pomagali nam w pracy. Salę sami idealnie sprząтали i wykonywali różne czynności porządkowe. Było to dla nas dużą ulgą.

W chwilach wolnych od pracy, jak to młodzi – rozmawialiśmy, śpiewali, mówili dowcipy, zawiązywały się sympatie. Zosia Bartoszevska związała się węzłem małżeńskim z doktorem Stefanem Żelazko, a Studzińska (zapomniałam imienia) z Brzdękiewiczem.

Tela Pietraszun знаła się na chiromancji. Kilku osobom przepowiedziała krótkie życie. Wszystkim się niestety sprawdziło. Potem nie chciała już spoglądać na żadną dłoń. Jedna osoba zmarła na tyfus, drugą pijany żołnierz zastrzelił na ulicy. Miała na imię Mirka. Trzecia, Maja – magazynierka zginęła od pocisku, który wpadł do pomieszczenia, gdzie przebywała. Kilka osób zranił, a ją zabił na miejscu. Następna osoba – sanitariuszka Wideman (nie pamiętam imienia). Jej nazwisko jest umieszczone na tablicy pamiątkowej na drzwiach kościoła przy pl. Szembeka. Zginęła na moich oczach. Zakończyła dyżur, ja przejęłam go od niej. Została jeszcze, żeby porozmawiać z pacjentem Szamockim (bratem Ireny – naszej koleżanki). Nagle huk, odłamek pocisku trafił ją w tętnicę szyjną. Padła na łóżko pacjenta z silnym krwotokiem. Ucisnęliśmy tętnicę i koledzy biegiem zanieśli ją do Instytutu Weterynarii, żeby ją operować (u nas w szpitalu nie było sali operacyjnej). Już było wszystko przygotowane, pacjentka leżała na stole, lekarze zaczęli operację. Wtem wpadła bomba, zabiła pacjentkę i lekarzy operujących. Mam przed oczami ojca dziewczyny. Starszy pan, zdaje się muzyk z długimi siwymi włosami. Przybył, bo ktoś go zawiadomił. Nachylił się nad zakrwawioną kołdrę i całował krew swojego dziecka. Łzy jak groch padały mu z oczu. Nie mogłam patrzeć. Nie znałam przed powstaniem osoby, która zginęła. Była starsza ode mnie. Podobno bardzo prawa i szlachetna. Kolejna osoba to Jadzia Kosowska, także z krótką linią życia. Czasowo mieszkała u nas w domu. Jej mieszkanie zostało zburzone. Zmarła po krótkiej, ciężkiej chorobie.

Niektóre dziewczęta, mniej wytrzymałe, odchodziły z pracy wcześniej. Trzeba było mieć dużo odporności psychicznej i fizycznej.

Kiedyś wybrałam się do domu rodzinnego, żeby zobaczyć, jak czują się Rodzice. Miałam mało czasu. Trzeba było szybko iść 45 minut w jedną

i 45 minut w drugą stronę. W domu na razie wszystko było w porządku. W czasie mego powrotu wokół mnie zaczęły rozrywać się pociski artyleryjskie. Biegłam coraz szybciej środkiem ulicy. Nie bałam się. Tylko nie mogłam się nadziwić, że nic mi nie jest. Z bramy wyszedł jakiś mężczyzna i skulony sunął wzdłuż ściany. Odezwałam się do niego z zapytaniem – „czy to pociski tak się rozrywają?” A on patrząc na mnie dziwnie odpowiedział – „nie, to pączki rzucają dla pani”. Dopiero wtedy się przestraszyłam. Ale do szpitala miałam już niedaleko. Gdy weszłam do budynku wszyscy nie mogli się nadziwić, że nic mi się nie stało, i że szczęśliwie przeszłam wśród tak niebezpiecznej „zawieruchy”. Ja sama byłam nie mniej zdziwiona.

Lewobrzeźna Warszawa dzień i noc płonęła. Okupant rzucał bomby, palił i niszczył nieszczęsną, kochaną stolicę, a „przyjaciele” stali tuż obok i czekali, aż się całkowicie wykrwawi.

W tych strasznych dniach zdarzały się także zabawne sytuacje. Jeden z pacjentów, po przebytej salmonellozie, wyleczony nadawał się do wypisania ze szpitala. Nie chciał jednak odejść. Był on psychicznie chory. Nazywał się Kruk i uważał się za króla Polski. Wydawał różne dziwaczne polecenia wymagowanym podwładnym. Jedną z koleżanek wybrał sobie na królową Polski. Biedaczka bała się dyżurów, bo zachowywał się wobec niej natarczywie. Czasem mówił patetycznym tonem – „tam Warszawa płonie, a ja tu basenu nie mam”. Nie musiał już korzystać z tego urzędnictwa. Mieszkał gdzieś niedaleko szpitala. Postanowiono zawieźć go do domu. Lekarz wytłumaczył mu, że rządzi krajem i wszyscy muszą go słuchać, ale chorym królem rządzi lekarz, którego on z kolei musi słuchać. Wydawał się być przekonany. Dał się odwieźć do domu. Cóż, kiedy na drugi dzień pojawił się na nowo w szpitalu mówiąc, że w takiej chwili nie może opuścić stanowiska.

Wojna wyraźnie zbliżała się ku końcowi. Okupant robił branżę. Wybierano wszystkich mężczyzn z domów i prowadzono popychając brutalnie kolbami od karabinów. Przechodzili koło naszego szpitala. Co chwilę ktoś się przewracał, a my podchodziliśmy z noszami i zabieraliśmy na oddział. W ten sposób wiele osób zostało uratowanych.

Zdobywanie Pragi trwało kilka dni i nocy. Huk armat, świstanie kul, w nocy bombardowania – straszne przeżycia. Dla mnie to nie było straszne. Musiałam wychodzić z wiadrami po wodę do studni, rozdzielać coraz bardziej skąpe jedzenie, zalewać i myć ubikacje, rozdawać leki i pocieszać przerażonych pacjentów. Ten personel, który był w tym czasie w szpitalu musiał zostać i pełnić dyżury w dzień i noc bez przerwy. Pamiętam jedną taką makabryczną noc. „Padałam z nóg”. Nie miałam siły się bać. Chciałam tylko się położyć i chwilę pospać. Umarł właśnie jeden bardzo sympatyczny staruszek. Żaden pacjent nie był już w stanie agonijnym. Odsunęłam zmarłego i obok niego się położyłam. Nie pamiętam, kiedy równie dobrze mi się spało.

Następnego dnia Niemcy ustępowali. Zachodnimi drzwiami wychodzili, a wschodnimi wchodziłi Polacy i Rosjanie. Kulki świstały na korytarzu, za chwilę było po wszystkim. Całowaliśmy wchodzących. Mieli dziwne orzelki na czapkach, ale wtedy to nie było ważne. Najważniejsze, że już nie ma okupantów.

Potem studiowałam medycynę. Po ukończeniu otrzymałam dyplom i nakaz pracy do Opolu. Przepracowałam tam 44 lata. Obecnie jestem na emeryturze.